

Ostrowski dziekan świętuje w Broku, w pow. węgrowskim nie dają rubli na wojnę z Japonią,
rąbią lasy pod Kiełczewem i Prostynią, tragedia na weselu w Seroczynie,
zagadkowa śmierć w gminie Jasienica,
będzie wreszcie w Ostrowi szpital z prawdziwego zdarzenia

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
Podchorążowie ze Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie pod Ostrowią
na letnich ćwiczeniach. Fot. Auterhoff¹.

Trudno powiedzieć czemu to w Broku, a nie w Ostrowi odbyła się uroczystość 25-lecia sprawowania funkcji dziekana przez ks. Adama Jarnutowskiego, proboszcza ostrowskiego. Być może dziekan pragnął podkreślić, że równą troską obdarza wszystkie kościoły dekanatu, a wybrano ten brokowski z tej racji, iż był najstarszym z istniejących. W artykule wiele jest nawiązań do wybudowanego z inicjatywy jubilatą, a konsekrowanego w roku 1894 murowanego kościoła w Ostrowi.

Korespondent wydawanej w Krakowie, a przemycanej do rosyjskiego zaboru gazety donosi, że z szesnastu gmin w powiecie węgrowskim, aż w dwunastu „są wójtowie i pisarze pod sądem” za przeróżne nadużycia. Te zaś wynikają po części z faktu, że naczelnik powiatu Wołkow, żąda od tych nieszczęśników łapówek, a jak już sprzeniewierzą rubelka dla naczelnika, to czemu drugiego nie przytulić samemu. Wybuch wojny z Japonią nie sprawił, że mieszkańcy powiatu pokochali cara. Wbrew prośbom, apelom i nakazom nie chcą sięgać do swych kieszeni.

W burzliwych latach 1905-1907 jednym z przejawów buntu ludności wiejskiej było wyrąbywanie lasów, przede wszystkim rządowych. Prasa donosi, że za siekiery chwycili także mieszkańcy Kiełczewa i Prostyni.

Korespondent łomżyńskiego pisma pomstuje „na dziki zwyczaj urządzania strzelaniny podczas uroczystości weselnych, który w skutkach swych bywa często tragiczny”. Tym razem padł martwy od kuli weselnik w Seroczynie. W tym samym numerze gazety także o możliwych przyczynach śmierci cyklisty na drodze prowadzącej z wioski Króle Duże do Ostrowi.

Siedziba ostrowskiego szpitala prezentuje się żałośnie, mieści się bowiem w „małym drewnianym domku, w którym przed wojną [pierwszą światową] była szkółka i lokal duchownego prawosławnego”. To, że rzeczona placówka lecznicza, jak na wspomniane warunki działa całkiem sprawnie, zawdzięczać należy w głównej mierze energii i poświęceniu dr. Eugeniusza Rytla. Nic dziwnego, że znany warszawski lekarz, określił jego wysiłki mianem pracy misyjnej, „gdzieś w Afryce wśród dzikich plemion”. Najwyższy czas na zmiany.

Prezentowane opracowanie archiwalnej prasy wyróżnia fotografia z letnich ćwiczeń Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie. Podchorążym, który brał udział w letnich ćwiczeniach tej szkoły, był Sławomir Lindner. Po latach tak wspominał pewien dzień letni: „Pod Brokiem ćwiczyliśmy przeprawę przez rzekę. Marsz do miejsca przeprawy był cudowny.

¹ „Rzeczpospolita Podchorążacka” R. 4, nr 5 (promocyjny) z 15 sierpnia 1934 r.

Piękna pogoda i nie za gorąco. Ale po drodze złapał nas taki ulewny deszcz, że przemokliśmy do suchej nitki. Deszcz był ciepły, prawie tropikalny i tak gęsty, że szliśmy jak po dnie jeziora. Czułem, jak woda ciurkiem płynie mi po plecach. Chlupała w butach. Kiedy przyszliśmy nad rzekę, kazano nam się rozebrać, zwinąć ubrania, sprzęt i broń w jeden wielki węzeł i tak przechodzić. Moja kompania poszła na pierwszy ogień. Zaczęliśmy się śmiać i ruszyliśmy na drugi brzeg, nie zdejmując ubrań ani butów. Stwierdziliśmy, że nie jesteśmy wcale bardziej zamoczeni niż przedtem. Ale ćwiczenia są ćwiczeniami i z powrotem musieliśmy jednak nieść swoje węzły na głowie. Woda w brodzie sięgała po pachy. Potem pozwolono nam się wykąpać. Pluskaliśmy się w kryształowo czystej wodzie Bugu dość długo, by odwlec operację wciągania na siebie mokrej bielizny, drelichów i butów. Ale żywy, kilkunastokilometrowy marsz wysuszył na nas ubranie całkowicie”².



Sławomir Lindner, autor powyższych wspomnień w mundurze polowym Szkoły Podchorążych³.

Otrzymaliśmy list od pani Ewy, zainspirowanej naszymi relacjami ze spotkań z nadbużańską, choć pochodzącą ze stolicy, ogrodniczką Moniką. Uważnie przeczytaliśmy korespondencję i gdybyśmy mieli tej epistole nadać tytuł, to brzmiałby – *Czy przesadna miłość zabija?*

Pani Ewa (także Warszawianka) dysponuje telewizją satelitarną, a że jest rozkochana w filmach przyrodniczych, to zamarzyła sobie, żeby na działce zlokalizowanej w jednej z miejscowości naszego regionu, stworzyć coś, co przypominałoby nieomal tropikalny las deszczowy. Należy podkreślić, że nie powinno to być trudne, skoro wszędzie mówią o katastrofalnym ociepleniu klimatu.

² Sławomir Lindner, *Ale serce boli*, Warszawa : Wydawnictwo PAX, 1983, s. 153.

³ Tamże.

Po przeczytaniu ton fachowej literatury i kierując się uwagami sprzedawców, zakupiła w jednym z centrów ogrodniczych masę roślin wyjątkowych, a przy tym z najwyższej półki, bo przeciętny koszt jednej odpowiadał cenie telewizora (naturalnie płaskiego, kolorowego) 32-calowego, ale były i takie dorównujące ceną odbiornikom 65-calowym. Wszystko zostało zasadzone zgodnie z regułami sztuki ogrodniczej oraz w wyznaczonych kanonami tejsze sztuki terminach, przy uwzględnieniu astrologii, *feng shui* i zgodnie z kalendarzem księżycowym.

Pani Ewa otoczyła swe roślinki opieką troskliwszą, niż czyni to większość rodziców w stosunku do swych dzieci: okopywała, odchwaszczała, podlewała, dożywiała zalecanymi, wyszukаныmi, równie kosztownymi, jak i same rośliny nawozami. A że obejrzała kilka filmów dowodzących, iż na rozwój roślin (podobnie, jak na rozwój człowieka) znakomicie wpływa kultura (ta wysokich lotów), to czytała swym roślinkom poezję i literaturę klasyczną, ogród zaś wypełniały dźwięki muzyki (naturalnie, nie mniej klasycznej). Rzec można, że trzy lata swego życia poświęciła wyłącznie roślinom, pielęgnowała je, kochała, a tymczasem... wszystkie, co do jednej zwiędły.

Pani Ewa jest osobą twardą, a przy tym posiadaczką dość grubego portfela, więc nie załamała się chwilową porażką, ale zaopatrzyła się w rośliny nowe. Była przekonana, że nie okazywała tym przecież żywym istotom dosyć ciepła i miłości. Sprowadziła specjalną, inną dla każdego gatunku roślin ziemię. Okopywała, odchwaszczała z podwójną energią. Odżywiała swe ukochane istoty jeszcze wymyślniejszymi nawozami i to wyłącznie typu *bio*, *eko* i *organic*. Porównując to do diety ludzkiej, można rzec, iż gdy zwykły, nieoświecony ogrodnik odżywia swe zielone dzieci rybą pangą, a przy święcie morszczukiem, to pani Ewa serwowała swym maństwu wcześniej dorsza, a teraz przeszła na tuńczyka i wędzonego węgorza. Na jednym z filmów nakręconych w Amazonii podpatrzyła, że w dżungli panuje prawie nieprzerwanie mgła, a tamtejsze rośliny pozyskują wilgoć głównie z pary wodnej. Przestała więc podlewać ogród – jak to czyni większość z nas śmiertelników – zwyczajnie wodą, ale podgrzewała lub schładzała wodę w zależności od panujących warunków i potrzeb, po czym z pomocą specjalnie zakupionej w tym celu wytwornicy stwarzała mgłę. Zwiększyła także dawkę kultury, starannie dobierała lekturę i repertuar muzyczny. Wymieniła sprzęt nagłaśniający na taki znacznie wyższej klasy, który w zetknięciu ze sztuczną mgłą nie ulegał ciągłym awariom. Wszystko na nic! Już po kilku tygodniach liście niektórych roślin poczęły się rozsypywać nawet przy delikatnym dotyku, inne zaś pokryły się dziwną mazią, co nawet w kochającej pani Ewie wywoływało odrazę. Pojawiły się też nieznane chrabąszcze i robale, a te już nie napawały pani Ewy odrazą, lecz wręcz przyprawiały o wymioty... robale nie idą w parze z poezją... no, chyba że mrówki. Wszystko na nic. Nie minęły dwa lata, gdy rośliny, co do jednej były martwe.

W związku ze startem nowego sezonu ogrodniczego, pani Ewa wybiera się do sklepu po nową porcję roślin. Jako że uważa nas redaktorów, włączając w to Beatę, za wybitnych ekspertów w każdej dziedzinie, to pyta, co źle robi i co powinna zmienić, co nowego zakupić.

Jako wybitni eksperci w dowolnej specjalności, starannie przeanalizowaliśmy materiał badawczy, znaczy się list pani Ewy. Zauważyliśmy, że wielką wagę przywiązuje do unikalności i ceny, napominając, że przeciętny koszt rośliny odpowiadał cenie 32-calowego telewizora.

W tym zdaje się, że pies jest pogrzebany. Otóż Pani Ewo. Czy telewizor 32-calowy obojętnie jakiej marki jest obecnie synonimem jakości i prestiżu? Ostatnio Zenkowi porobiły się dziury w skarpetkach, a że odpadowe regulacje nie pozwalają wyrzucać odzieży do śmieci zmieszanych, to swym dwudziestopięcioletnim dieslem zawiązał tę parę do odległego o

kilkanaście kilometrów PSZOK-u. Zauważył tam stertę telewizorów z ekranami o pokaźnej przekątnej. Podczas rozmowy z pracownikiem okazało się, że telewizory 32-calowe wyrzucane są masowo. Początkowo, osoby zatrudnione w PSZOK-u próbowały je sprzedawać, później rozdawać za darmo, a teraz nikt już ich nie chce, gdyż teren poczęły wypełniać odbiorniki ponad 40-calowe. Czy można zatem mówić o jakości w przypadku roślin, których cena odpowiada czemuś, co jest niechciane i masowo wyrzucane na śmietnik? Czy można się dziwić, że roślina taka szybko więdnie, podobnie jak przy pierwszym użyciu wygina się lub łamie supermarketowa łyżka do butów, o grubości liczonej w mikrometrach? Sądźmy zatem, że niezbędna jest weryfikacja kryteriów zakupowych. Absolutne minimum to ekran 85-calowy! Radzimy zatem sprawdzić ceny takich telewizorów i nie kupować roślin choćby o grosz tańszych.

Jest też inne wyjście, prostsze, ale zdaje się, że nie dla osób „na poziomie”, gdyż równa się z deklasacją i poniekąd brataniem z ludem. Napisała Pani z oburzeniem: „Gdzie tu sprawiedliwość, skoro sąsiad nie dba o rośliny prawie wcale, a wszystkie rosną bujnie i okazałe?”. Nadmieniam Pani, iż sąsiad mało, że nie czyta roślinom poezji (zdaje się, że nie czyta czegokolwiek) i nie puszcza im muzyki, to nawet nie wie, czym są nawozy... nie tylko te *bio*, ale i te najzwyczajniejsze, a nawet chemiczne. Gleba na jego podwórku składa się w równej części z ziemi oraz z niedopałków papierosów i kapsli od butelek.

Trochę niezręcznie jest nam to sugerować, ale może wykorzysta Pani płynącą z wieków praktyki mądrość ludową? Dla zachęty dodamy, że był przecież okres w historii, kiedy nawet arystokracja oddawała się tzw. chłopomanii. Bynajmniej nie namawiamy, aby wzorem sąsiada wzbogacała Pani swą glebę o kapsle i pety. Rustykałość w Pani wydaniu polegałaby na podpatrzeniu, co rośnie bujnie w wiejskich ogrodach i posadzeniu tego samego.

Zapobiec deklasacji, szczególnie w oczach znajomych, może pomóc upozorowanie, że zmiany w Pani podejściu wynikają z fascynacji kulturą wsi. Starania i koszty takiej przemiany będą niewielkie: plebejskie rośliny można kupić za bezcen, zaszczerki zaś dostać od sąsiadów gratis. Może Pani przyjmować gości w stroju pastreczki, którego idealnym dopełnieniem byłby twarzowy kapelusz pszczelarki. Do tego kilka obiektów sztuki ludowej w ogrodzie, gliniane naczynia zamiast porcelany itp. itd. Oczywiście, proszę uważać, aby nie popaść w przesadę. Nie jest raczej celowe zastąpienie nowoczesnej toalety, wygodką w ogrodzie czy sztuców platerowanych, takimi dłubanymi w drewnie.



Z Broku (diecezja plocka, dekanat ostrowski).

W dniu 14 czerwca byłem tu świadkiem pięknej uroczystości tj. obchodu 25-lecia dziekaństwa ks. prałata Jarnutowskiego, a że takowa wykazała tak pożądaną jedność całego dekanatu z jego zwierzchnikiem, sędzę więc, iż na zaznaczenie zasługuje.

Pod gościnnym dachem miejscowego proboszcza ks. Antoniego Wyzińskiego, zebrało się nas 26 kapłanów z 4 dekanatów⁴, a ze świeckich osób byli obecni miejscowi panowie: naczelnik powiatu, komisarz i doktor. Po odśpiewaniu uroczystego „Te Deum” w kościele wicedziekan ks. Antoni Dąbrowski odczytał przemówienie po łacinie, udatnie a zwięźle zasługi Jubilata przedstawiające i doręczył Mu imieniem dekanatu srebrny krzyż do ręki ze stosownym napisem. Następnie obecni, tę przemowę łacińską, ozdobnie wykaligrafowaną, kolejno podpisywali, a w miłej pogadance o sprawach najwięcej nas obchodzących z sąsiadami i znajomymi, których nieraz po latach kilku tu się spotykało, czas prędko zeszedł do chwili posiłku.

Pierwszy toast za zdrowie jubilata wniósł ks. Bonawentura Grabowski, kanonik katedry plockiej, sędzia surogat i proboszcz pułtuski, za który, podobnie jak i za wszystkie następne Jubilat dziękował i toastem ze swej strony się odwzajemniał.

Następnie ks. Korolec, proboszcz z Andrzejewa, w udatnym wierszu podniósł zasługi Jubilata, a o wzniesionym przez niego kościele tak się wyraził:

„Twój duch w czynie wykonywa,
To, co serce ukochało,
Przez Cię Ostrów się zdobywa,
Na Dom Boży jakich mało!
Piękny gotyk, murowany
Z myślą, że tu, na północy,
Słoty, mrozy na przemiany –
Zwalczy wieki ich przemocy”.

Dalej zaś kończąc opis świątyni, powiada:

„I wspaniała swą prostotą,
I piękności majestatem,
Że się dusza w niej z ochotą,
Jedna z Bogiem, ludźmi, światem”.

⁴ Proboszczowie w roku 1897 w dekanatach ostrowskim i węgrowskim: „Dekanat Ostrowski: Andrzejewo, Józef Korolec; Boguty-Pianki, Augustyn Wawrowski; Brańszczyk, Jan Żelazowski; Brok, Antoni Wyziński; Czyżewo, Kajetan Ślubowski; Długosiodło, Antoni Dąbrowski; Jasienica, Maksymilian Majcherski; Jelonki. Michał Turowski; Nur, Mieczysław Kapszewicz; Ostrów, dziekan, Adam Jarnutowski; Poręba, Michał Jabłonowski; Rosochate, Franciszek Goryszewski; Wąsewo. Jan Piotrowski; Zaręby-Kościelne, Florian Szroda; Zuzela, Antoni Lipowski. [...] Dekanat Węgrowski. Grębków, Michał Mystkowski; Kopcie, Józef Żebracki; Korytnica-Węgrowska, Jan Radomyski; Liw, Michał Bartnicki; Miedzna, Teofil Rybka; Prostyń, Wojciech Chojecki; Sadowne, Adam Sadowski; Stara-Wieś, Kandyd Racinowski; Stoczek Węgrowski, Stefan Obłozą; Węgrów, dziekan Stanisław Broniszewski; Wyszaków, Mikołaj Wydzga”. [za:] *Kalendarz „Wiek” ilustrowany na rok zwyczajny 1897*, Warszawa : Nakładem „Wiek”, 1897, s. 47, 50.

I w rzeczy samej główną cechą kościoła w Ostrowi, którym sobie szanowny Jubilat wznosił *monumentum aere perennius* [pomnik trwalszy od spiżu] jest trwałość, a obok piękności, powaga, którą się odznaczają nietynkowane budowle.

Potem pan naczelnik wznosił zdrowie Jubilata, a następnie pan komisarz zaznaczył, iż na swoim stanowisku miał najlepszą sposobność się przekonać o dodatnim wpływie duchowieństwa na lud w całym dekanacie, a że kierownictwo w tym względzie należy się Jubilatowi, wznosi przeto jego zdrowie. Na tak grzeczne i pełne życzliwości ocenienie naszej pracy ks. Jubilat imieniem własnym i nas wszystkich serdecznie podziękował i toast za zdrowie p. komisarza wychylił z przyjemnością.

Wreszcie ks. prałat Rejchel przemawiał imieniem ks. prałata Stalmacha, serdecznego przyjaciela Jubilata, który dla braku zdrowia nie mógł przybyć i po kilku jeszcze przemówieniach usłyszeliśmy kantatę pod przewodnictwem miejscowego organisty, na kilka głosów udatnie wykonaną.

Słowem cała ta uroczystość bardzo miłe zrobiła wrażenie, przekonywając o jedności między dekanatem i Jubilatem, który oby nam świecił i nadal przykładem energii i życia kapłańskiego, *ad multos felices que annos* [przez wiele szczęśliwych lat]!

[„Polak : pismo dla wszystkich”, nr 6 z czerwca 1904 r.]

LISTY DO POLAKA Z Węgrowa (gub. siedlecka)

W powiecie naszym jest tu wszystkich gmin szesnaście. Z tej liczby w 12-tu gminach są wójtowie i pisarze pod sądem za to, że się pod ich zarządem działy różne nadużycia. W ogóle gospodarka gmina prowadzi się u nas bardzo źle, bo naczelnik rządzi, jak sam chce. Naczelnik Wołkow bierze od wójtów i pisarzy łapówki, i w ten sposób zmusza ich do okradania gminaków: w gminie Korytnicy okazał się brak w kasie gminnej 1111 rubli, a w pożyczkowej 623 rb., w gminie Żelawnie [Żelazowie] brakło 5000 rb., w Wyszkwowie 700 rb., a w innych gminach podobnie. Tak to gminiacy przez wybór złych urzędników stracili wiele pieniędzy, które by na co dobrego obrócić było można. Sądziłi tych wójtów i pisarzy w Sądzie Okręgowym w Węgrowie. Wójt z Korytnicy zasądziłi dnia 1-go listopada 1903 roku na zapłacenie 1111 rb. i miesiąc kozy, pisarza na zapłacenie 623 rb. i dwa lata rot aresztanckich. Innych pokarali też ostro, a główny sprawca wszystkiego – naczelnik Wołkow, jest dobry i czysty.

Teraz z powodu wojny z Japonią chcieli, żeby gminy nasze dawały składkę na rannych i na flotę. Dnia 20-go marca odczytano w Korytnicy manifest o wojnie, po moskiewsku. Dopiero gminiacy zaczęli krzyczeć, że nie rozumieją i wtedy przetłumaczyli na język polski. Wójt zaczął przedstawiać, że Najjaśniejszy Pan życzy sobie, by gmina dała na Czerwony Krzyż, że inne gminy dały już po kilkaset rubli. Na taką przemowę złożyli zebrani całe trzy złote [45 kopiejek], a wójt o mało nie płakał ze złości, a pewno i ze strachu przed naczelnikiem.

Żeby pieniądze ściągnąć, wziął się wójt na taki sposób, że nie wydawał paszportów [w sensie dowodów osobistych], jeśli kto nie złożył złotówki na Czerwony Krzyż. 16-go kwietnia odbyło się zebranie w Korytnicy, na którym wójt chciał, żeby gmina uchwaliła z dochodów kasy pożyczkowej wydać pieniądze na flotę i na Czerwony Krzyż, ale gminiacy ostro się postawili i nic nie dali. W powiecie naszym dały tylko trzy gminy, a mianowicie: 1) Żelazów, gdzie jest łotr pisarz, niejaki Burbasiewicz i gmina ciemna, dali 300 rb. 2) Ruchna uchwaliła 600 rb., wielu gminiaków się sprzeciwiało, ale większość ciemna jeszcze.

Pozostałe gminy w liczbie trzynastu nic nie dały, pomimo że wójci straszili naczelnikiem i wypominali gminiakom, że wiedzą dobrze, dlaczego dać nie chcą, bo to polski rząd im zakazuje. Gminiacy odpowiadali, że nie dadzą, bo jak kiedyś krzyże stawiali, to później w kozie siedzieli. A sołtysi to obchodzą chałupy i nawet jajka biorą, jak kto pieniędzy nie ma lub dać nie chce. Wołkow jak się o tym dowiedział, ogromnie się rozgniewał, wrzeszczał, że wie dobrze o tym, że to „Polak” tak mu powiat zapaskudził i że jak się dowie, kto go rozpowszechnia, to go każe ze skóry obdrzeć. Po gminach powyznaczali nowe zebrania, by do składek na Czerwony Krzyż zmusić. O wyniku tych zebrań doniosę Redakcji.

Podlasiak



„Jadziem Panie Poruczniku”, czyli regularna komunikacja na trasie SPP w Komorowie – stacja kolejowa⁵.

⁵ Sławomir Lindner, dz. cyt.

[„Naród : pismo codzienne z tygodniowym dodatkiem”, nr 211 z 2 listopada 1906 r.]

Wyrąbanie lasu. Mieszkańcy wsi Kielczew i Prostyń, powiatu węgrowskiego, podburzani przez agitatorów zebrali się w liczbie 100 i zaczęli wyrąbywać las położony między Zieleńcem a Małkinią, a należący do Kolei Petersbursko-Warszawskiej. Wyrąbiano las na przestrzeni czterech wiorst: 971, 972, 973 i 974⁶ ciągnących się wzdłuż plantu kolei.

O rabunku dano znać do sąsiedniej stacji, z której celem przeszkodzenia grabieży udał się na miejsce żandarm kolejowy z oddziałem żołnierzy. Włóścian wyrąbujących las rozpędzono i zatrzymano 7 wozów naładowanych drzewem. Następnie spisano nazwiska winnych, celem pociągnięcia ich do odpowiedzialności sądowej.

[„Przegląd Łomżyński”, nr 10 z 8 marca 1936 r.]

WESELE – ZAKOŃCZONE ŚMIERCIA

Po wsiach polskich panuje dziki zwyczaj urządzania strzelaniny podczas uroczystości weselnych, który w skutkach swych bywa często tragiczny. Tak też i tym razem. We wsi Seroczyn, gm. Czerwin – w mieszkaniu Tyszki Jana odbywało się wesele, pod koniec którego część gości wyszła na podwórze, aby oddać „tradycyjną” salwę na wiwat. Skutki okazały się tragiczne, gdyż wskutek nieostrożności strzelających, broń wypaliła przedwcześnie i kula ugodziła w kręgosłup Stanisław Niemirę, mieszkańca Rogowa-Folw., gm. Lubotyń. Stropieni weselnicy, w obawie kary na sprawców mimowolnego zabójstwa chcieli fakt ten ukryć przed policją. Sprowadzili po kryjomu felczera, lecz ten, stwierdziwszy ciężki stan rannego, polecił odstawić go do szpitala, lecz jak się okazało, było już za późno, gdyż w parę godzin Niemira zmarł z upływu krwi. O zabójstwie dowiedział się czujny komendant posterunku w Czerwinie i udał się na miejsce, gdzie dokonał aresztowania sprawców strzelaniny weselnej, a to: Zygmunta Jaworskiego i W. Tyszkę, mieszkańców wsi Zagroby-Łętownica.

ZAGADKOWA ŚMIERĆ

Stanisław Jagiełło, mieszkaniec wsi Króle Duże, gm. Jasienica, pow. ostrowskiego, wybrał się rowerem do Ostrowi Mazow. Tegoż samego dnia zwłoki Jagiełły zostały przewiezione do jego rodzinnej wsi przez niejakiego Wojsza ze wsi Ugniewo, który twierdzi, że znalazł je na drodze. Na zwłokach nie ujawniono żadnych uszkodzeń cielesnych. Istnieje przypuszczenie, że śmierć nastąpiła wskutek nadmiernego spożycia alkoholu.

⁶ Numery słupek wiorstowych odmierzających odległość od Petersburga. Stacji Małkinia odpowiadał słupek nr 969, a stacji Zieleniec (ob. Sadowne Węgrowskie), słupek nr 982. 1 ówczesna wiorsta równała się 1067 metrom [przyp. aut. opracowania].

KRONIKA OSTROWSKO-MAZ. PALĄCA SPRAWA

Nie bacząc na kryzys, nie bacząc na masę innych trudności w dziedzinie naszego życia gospodarczego, niezwiązanych nawet z kryzysem, Polska w rozbudowie swego dobrobytu idzie z roku na rok dużymi krokami naprzód. Dowodów tego pomyślnego stanu rzeczy niekoniecznie mamy szukać na przykładzie Gdyni, widzimy je na każdym niemal kroku, gdzie tylko rzucimy wzrokiem. Tutaj wznosi się imponujący gmach szkolny, tam dom ludowy, jeszcze gdzie indziej – wielki budynek jakiejś użyteczności publicznej itd. Prawda, miasta i powiaty nasze są niekiedy obdłużone ponad swe siły płatnicze, lecz jakże może być inaczej, skoro jesteśmy biedni, bo na dorobku jeszcze.

Miasto Ostrów-Mazowiecka może także się poszczycić nowymi, wspaniałymi budynkami gimnazjum i elektrowni miejskiej. Gmach szkoły powszechnej, jakkolwiek również nowy, jednak jest już niewystarczającym dla potrzeb miasta i Zarząd Miejski nosi się z zamiarem rozpoczęcia budowy nowego. Poza tym ulice miasta wyposaża się w wygodne chodniki, pod którymi umieszcza się betonowe kanały do ścieku wody, tu i tam urządza się gustowne skwery, obsadza się ulice drzewkami alejowymi.



Dr Eugeniusz Rytel, dyrektor ostrowskiego szpitala w międzywojniu był w czasie okupacji niemieckiej lekarzem Obwodu AK „Opocznik”. W lipcu 1944 r. opuścił Ostrów i zorganizował partyzancki polowy szpital w leśniczówce pod Pecynką. 31 sierpnia trafił do niewoli i został rozstrzelany przez Niemców w majątku Jemieliste⁷.

⁷ Mieczysław Bartniczak, *Eksterminacja ludności w powiecie Ostrów Mazowiecka w latach okupacji hitlerowskiej (1939-1944)*, „Rocznik Mazowiecki” 1974, T. 5, ryc. 41, s. 207-208.

Lecz jest jeszcze jedna dziedzina życia publicznego, bodajże najważniejsza, a jednocześnie jakby przez wszystkich zapomniana, a jest nią nagląca potrzeba budowy nowego szpitala powiatowego. Szpital istniejący mieści się w małym drewnianym domku, w którym przed wojną była szkołka i lokal duchownego prawosławnego. Jest to pod każdym względem budynek nieodpowiedni na ten cel, któremu on służy. Tylko wszechstronna inicjatywa i niespożyta energia wieloletniego lekarza szpitala dr. E. Rytla mogły zdziałać to, że szpital ten posiada 50 łóżek i mimo wielu braków, spełnia swoje zadanie. Przede wszystkim nie ma tutaj aparatu Rentgena, kompletu instrumentów chirurgicznych, dostatecznej ilości bielizny itd. Oczywiście, najważniejszą rzeczą jest pobudowanie nowego gmachu pod szpital, który by odpowiadał bodaj najgłówniejszym wymogom dzisiejszego szpitalnictwa, obliczonego na 100-150 łóżek. Powiat nasz, jak zresztą i inne, przeciążony jest długami, jednak muszą się znaleźć pieniądze na budowę nowego szpitala, bowiem sprawa ta wyszła już z okresu spraw pilnych, a wstąpiła w stadium spraw palących.

Niedawno, jeden z bardziej znanych lekarzy warszawskich, zwiedzając tutejszy szpital, w rozmowie z waszym korespondentem nazwał pracę dr. Rytla w obecnych warunkach, „pracą misyjną, gdzieś w Afryce pośród dzikich plemion”. Jest to bardzo wymowna ocena.

Skoro mówimy o potrzebach szpitala, nie można pominąć milczeniem sprawy pobierania opłat za pobyt i leczenie tam chorych. Jak wiadomo, gminy zazwyczaj zalegają z opłatami za swych chorych. Ci ostatni, sami częstokroć nie chcą płacić, wymawiając się ubóstwem. Zdarzają się i takie wypadki, że chory, będąc już rekonwalescentem, przy pomocy swej rodziny, nocą ucieka ze szpitala. Niewątpliwie, rzecz ta wymaga rozpatrzenia i uregulowania.

B. Zarzycki